


AUTORKA ŚWIATOWYCH BESTSELLERÓW  
TATUAŻYSTA Z AUSCHWITZ I PODRÓŻ CIŁKI



HEATHER  
MORRIS

OPOWIEŚCI  
O NADZIEI

MARGINESY

## 2 Słuchanie Lalego



*„Jeśli budzisz się rano, to znaczy, że jest dobry dzień” – Lale Sokołow*

W grudniu 2003 roku spotkałam się wreszcie z koleżanką, której nie widziałam od kilku miesięcy. Podczas pogawędki przy kawie wspomniała mimochodem: „Interesujesz się pisaniem scenariuszy, prawda? Mam znajomego, którego matka właśnie zmarła. Jego ojciec skończył niedawno osiemdziesiąt siedem lat i poprosił go, żeby znalazł kogoś, komu mógłby opowiedzieć jakąś historię. Ta osoba nie może mieć żydowskich korzeni. Ty nie jesteś Żydówką, może miałabyś ochotę go poznać?”. Zapytałam ją, czy wie, o czym jest ta historia, a ona odparła, że nie. Zaintrygowało mnie to na tyle, że się zgodziłam. Tydzień później, w słoneczne popołudnie – na półkuli południowej trwało lato – wyruszyłam z domu na spotkanie z Lalem Sokołowem.

Wesołej Chanuki! Chaaanuuuki! Po drodze ćwiczę w myślach tę obcą nazwę. Wiem tylko tyle, że to żydowskie święto świąteł. Jadę przez przedmieścia obwieszane świątecznymi dekoracjami i zastanawiam się, od czego zacząć. Czy z moim nowozelandzkim akcentem da się powiedzieć „Wesołej Chanuki” tak, żeby nie brzmiało to głupio? Ale chwileczkę... mężczyzna, z którym mam się

spotkać, stracił niedawno żonę. Może życzenia ze słowem „wesołej” będą zatem niestosowne. Mój nastrój się zmienia. Przestaję się uśmiechać na widok błyszczących wieńców, dzwonek i zabawnych figurek Mikołajów. Zbliżający się cel podróży napawa mnie teraz lękiem.

Drzwi się otwierają, odsłaniając niewysokiego, szczupłego starszego pana. Dwa psy, po jednym z każdej strony, tworzą straż przyboczną. Jeden z nich jest niewiele większy od mojego kota, drugi rozmiarem przypomina małego kucyka, ale wydaje się znacznie mniej przyjazny.

– Jestem Lale, a to moje dzieciaki, Tootsie i Bam Bam.

Wygląda na to, że to tyle tytułem przedstawienia, bo wiem kolejne słowo, jakie słyszę, to „wejdz”, wypowiedziane tonem nie tyle zaproszenia, ile rozkazu. Cała trójka odwraca się nagle i idzie gęsiego korytarzem. Zamykam za sobą drzwi i podążam za nimi. Nie dano mi szansy na żadne powitanie i nie wiem, które imię należy do którego dzieciaka.

Orszak wchodzi do nieskazitelnie utrzymanego pokoju, który stanowi sanktuarium lat sześćdziesiątych. Zatrzymuje się przy doskonale wypolerowanym, dużym stole jadalnym.

– Siadaj.

Poleceniu towarzyszy gest – wyznaczono mi konkretne krzesło przy stole. Siadam. Zadowolony Lale z dziećkami idzie do przyległego pokoju. Zostaję i rozglądam się po otoczeniu, w którym nadal widać rękę kobiety dumnej ze swojego domu. Podłogę zaściewają dywaniki ze wzo-

rem w ogromne kwiaty, ściany zdobią odbitki i zdjęcia rodzinne, pobliski kredens jest wypełniony wykwinnymi kryształami – wiszący nad nim obraz przyciąga moją uwagę. Przedstawia Cygankę klęczącą na rozłożonym na ziemi różowym dywaniku, za lewym uchem kobieta ma zatknięty czerwony kwiat, z prawego zwisa duży kolczyk w kształcie koła, bujne czarne włosy opadają falami na ramiona. Potrójny sznur koralii oplata jej szyję, usta są miękkie i różowe, a ciemne, przeszywające oczy patrzą prosto przed siebie, jak gdyby spoglądały w obiektyw aparatu. Kobieta jest ubrana w zieloną, obszerną spódnicę i białą bluzkę, której bufiaste rękawy zbierają się nad łokciami. Torba i szal leżą za nią, częściowo przesłonięte. Palce bosej stopy wychylają się spod spódnicy. Przed nią leżą rozłożone cztery karty. Cyganka wskazuje jedną: to as kier.

Po kilku minutach Lale i dzieciaki triumfalnie wracają do pokoju. Mężczyzna stawia przede mną filiżankę na spodku i talerz z sześcioma starannie ułożonymi wafelkami. Lale zasiada po mojej prawej, dzieciaki trzymają wartę u jego boków.

– Próbowałaś ich już kiedyś? – pyta i pokazuje ciasteczka.

– Tak, te wafelki to jedne z nielicznych słodczy w sklepach, które pamiętam z dzieciństwa.

– Ale założę się, że to nie były te same ciastka...

Znowu zostaję sama, bo cała trójka ponownie idzie do kuchni. Gdy wracają, na stole przede mną ląduje paczka ciasteczek. Te wędrowniki tam i z powrotem zaczynają mnie

niepokoić i nie jestem pewna, co powiedzieć, gdyby znowu zniknęli mi z oczu.

– Próbowalaś ich już kiedyś? – powtarza.

Usadowione po obu jego stronach dzieciaki kładą się teraz na podłodze, nie przestając świdrować mnie wzrokiem.

– Nie, nigdy nie jadłam ciastek tej firmy.

– Tak myślałem. Są z Izraela, zobacz. Nie umiesz tego odczytać, prawda?

Odwracam paczkę i patrzę na obce litery.

– Zgaduję, że to alfabet hebrajski, więc nie, nie umiem go przeczytać, ale mogę panu powiedzieć, że to cholernie dobre ciasteczka!

Na jego twarzy po raz pierwszy pojawia się cień uśmiechu.

– Jak szybko piszesz?

– Trudno powiedzieć, to zależy od tego, co piszę.

– Lepiej, żebyś była szybka, bo nie mam za wiele czasu.

Pierwsze ukłucie paniki. Celowo postanowiłam nie przynosić ze sobą żadnych materiałów do pisania, chciałam tylko wysłuchać opowieści i zastanowić się, czy chcę się podjąć tego zadania. Zerkam na zegarek.

– Przepraszam, a ile dokładnie?

– Niewiele.

– Pan się gdzieś wybiera?

– Tak, muszę być z moją Gitą.

Staram się nawiązać kontakt wzrokowy z tym kruchym osiemdziesięciosiedmioletnim mężczyzną, który właśnie

wypowiedział imię swojej niedawno zmarłej żony. Siedzi teraz nieruchomo z pochyloną głową.

– Nie chcę pana denerwować. Jeśli nie ma pan ochoty ze mną rozmawiać, to w porządku, zaparzył pan świetną kawę, a te ciasteczka są pyszne.

Kłamałam – to była pierwsza z wielu, naprawdę wielu filiżanek ohydnej kawy, które Lale miał dla mnie zrobić.

– Nigdy nie poznałaś Gity, prawda?

– Nie.

– Chcesz zobaczyć jej zdjęcie?

Zanim mam szansę odpowiedzieć, cała trójka zrywa się z miejsca i kieruje do pobliskiej szafki, na której stoi duży telewizor oraz zdjęcie Gity i Lalego.

– Była najpiękniejszą dziewczyną, jaką kiedykolwiek widziałem – powiedział, wręczając mi fotografię. – Trzymałem ją za rękę, patrzyłem w jej przestraszone oczy i tatuowałem numer na jej ramieniu. Wiedziałaś o tym? Czy wiesz, że byłem tatuażystą w Auschwitz?

Wpatruję się z fascynacją w zdjęcie uśmiechniętej, siedemdziesięcioletniej Gity, siedzącej obok tego pięknego mężczyzny, który obejmuje ją mocno ramieniem. Jestem oszołomiona, nie mogę znaleźć słów, nie dociera do mnie jeszcze to, co powiedział.

Fotografia zostaje starannie ustawiona na swoim miejscu. Widzę, że zarówno ona, jak i telewizor stoją tak, żeby wygodnie było na nie patrzeć z pobliskiego fotela.

– Skoro już tu przyjechałaś, to powinienem opowiedzieć ci swoją historię, nie uważasz?

– Tylko jeśli pan chce.

Patrzę na jego towarzyszy, którzy teraz wyglądają, jakby spali.

– Byłem wtedy przystojnym facetem. – Wygrzebuje z portfela starą fotografię paszportową i podaje mi ją. Ze zdjęcia spogląda na mnie atrakcyjny, uśmiechnięty dwudziestoczteroletni Ludwig Eisenberg. Opowiedział mi później, jak po wojnie zmienił nazwisko na Sokołow, żeby brzmiało „rosyjsko”, ale chyba także, żeby ukryć żydowskie pochodzenie. Jest więcej niż przystojny, na tym jednym zdjęciu widzę arogancję, pewność siebie; jest zuchwwały, ujmujący, pewny tego, kim jest i jakie jest jego miejsce w świecie.

– Byłem maminsynkiem. Zawsze to wiedziałem, nigdy się tego nie wypierałem.

– I...

– I co?

Przez kolejne dwie godziny siedziałam i słuchałam Lalego. Opowiadał urywkami, fragmentarycznie, często w tempie karabinu maszynowego, niespójnie, chaotycznie. Przechodził z angielskiego na – jak się domyślałam – słowacki, czasem niemiecki, a od czasu do czasu rosyjski i polski. Dzieciaki się nie ruszały, ale w końcu poczułam, że Lalego ogarnia niepokój i zmęczenie. Kiedy powiedział, że był tatuazystą w Auschwitz, przerwałam, by zapytać, co ma na myśli. Spojrzał na mnie jak na głupią. Nie byłam pewna, czy to dlatego, że mu przerwałam, czy też powinnam wiedzieć, o co mu chodzi.



– Tatuażysta, byłem tatuażystą w Auschwitz-Birkenau. Robiłem numery – tłumaczył cierpliwie. – Zrobiłem jej numer. Trzymałem ją za rękę, kiedy robiłem jej numer, i patrzyłem jej w oczy. – Nie musiał wyjaśniać, o kim mówi. – Wtedy, w tamtej sekundzie, wiedziałem, że nigdy nie pokocham innej kobiety.

Pisząc te słowa piętnaście lat później, czuję na plecach ten sam dreszcz jak wówczas, gdy po raz pierwszy usłyszałam je od Lalego.

– Nigdy nie pokocham innej kobiety.

Zdjęcie z Gitą, które leżało na stole między nami, jak gdyby Gita dołączyła do rozmowy, było teraz przyciśnięte do jego piersi. Słyszałam niemal bicie złamanego serca. Czułam, jak jego smutek i ból rozprzestrzeniają się i spływają na mnie.

Wyciągnęłam rękę i delikatnie położyłam mu dłoń na ramieniu. Rękaw jego koszuli zsunął się, częściowo odsłaniając numer. Nie mogłam oderwać od niego wzroku. On to zauważył. Gdy zabrałam rękę, podciągnął rękaw i dumnie zaprezentował mi lewe przedramię.

– 32407 – powiedział. Wyblakłe niebieskozielone cyfry przykuły moją uwagę.

– Kto? – szepnęłam. – Kto panu to wytatuował? Wie pan?

– Jasne, wiem. To był Pepan. Pepan nadał mi numer.

Chwilę później zapytałam Lalego, czy ogląda mecze tenisa. Czułam, że muszę zakończyć rozmowę o mrocznym, bolesnym okresie jego życia. Często miałam do czynienia z ludźmi po tragicznych i traumatycznych przeżyciach

i wiedziałam, jak zmienić temat – przerwać zakłęcie, które trzymało nas oboje. Skoro ja byłam przygnębiona, słuchając jego urywanych historii, to jak on musiał się czuć?

Tak, uwielbiał tenis. I piłkę nożną, i koszykówkę, i lekkoatletykę, jak mi powiedział.

– A krykiet? – zapytałam. – Mamy akurat sezon rozgrywek.

Nie, nie był fanem krykieta. Nie widział sensu w grze, w której po pięciodniowym meczu nadal nie ma zwycięzcy.

W końcu poczułam, że powinnam zbierać się do wyjścia.

– Czy mogę spotkać się z panem w przyszłym tygodniu? – zapytałam.

– Muszę cię o coś zapytać, zanim odpowiem. Co wiesz o Holokauście?

Zakłopotana zwiesiłam głowę.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam. – Chodziłam do szkoły w małym miasteczku w Nowej Zelandii, niewiele się tam nauczyłam i muszę przyznać ze wstydem, że od tamtej pory nie poszerzyłam zbyt wiele wiedzy.

– Idealnie – powiedział. – Doskonale się nadasz.

– Muszę pana o coś zapytać, panie Sokołowie. Dlaczego koniecznie chce pan rozmawiać z kimś, kto nie jest Żydem?

– Proste. Chcę rozmawiać z kimś, kto nie ma żadnego związku z Zagładą.

– Dlaczego?

– Nie wierzę, że gdziekolwiek na świecie żyje choć jeden Żyd, którego nie dotknąłby Holokaust, czy to oso-

biście, czy to przez rodzinę albo przyjaciół. Taki człowiek jest obciążony i nie będzie potrafił spisać mojej historii.

– Wie pan, że nie napisałam jeszcze żadnej książki? Przestudiowałam i napisałam kilka scenariuszy, z których żaden nie doczekał się realizacji.

Musiałam się przyznać do moich zerowych osiągnięć pisarskich. Będąc miłośniczką kinematografii, naiwnie myślałam, że jeśli będę chodzić na weekendowe zajęcia ze scenopisarstwa, czytać scenariusze i analizować gotowe filmy, uda mi się napisać własny scenariusz. Miałam kilka pomysłów na fabułę i potrafiłam sobie wyobrazić ich realizację. Nigdy nie należy lekceważyć wiary we własne siły. Człowiek nie ponosi życiowej porażki tylko dlatego, że czegoś spróbował i nie wyszło; po prostu następnym razem bardziej się postara. Albo tak sobie tylko wmawiałam. Napisałam zaledwie jeden scenariusz.

– Potrafisz pisać, prawda? – zapytał Lale.

– Chyba tak.

– Więc napiszesz moją historię.

– Jest jedna rzecz, którą powinien pan o mnie wiedzieć.

Po raz pierwszy spojrział mi prosto w oczy.

– Nazwisko panięńskie mojej matki brzmiało Schwartfeger.

– A, czyli jesteś Niemką – odparł, a ja po raz pierwszy tego dnia usłyszałam w jego głosie ożywienie.

– Nie, jestem Kiwi. Pochodzę z Nowej Zelandii, moja rodzina żyje tu od pięciu pokoleń.

– Nieważne, rodziców przecież się nie wybiera, prawda?

Po raz pierwszy odpowiedział uśmiechem na mój uśmiech.

– Przyjdź we wtorek – powiedział.

– Ale ja pracuję od poniedziałku do piątku.

– O której kończysz?

– O piątej.

– No to do zobaczenia potem.

W drodze powrotnej nie widziałam dekoracji ulicznych, a mój umysł przepęłniały obrazy grozy i miłości, zła i odwagi.

– Jak było? – pytali moi bliscy, kiedy wróciłam do domu.

– Spotkałam się z żywą historią. – Nie miałam dla nich innej odpowiedzi. Naciskali, żebym powiedziała coś więcej, ale ja nie potrafiłam albo nie chciałam. Na razie pragnęłam pozostać sam na sam ze swoimi myślami, jakoś ułożyć sobie w głowie to, co usłyszałam, jak się to miało do mojej ograniczonej wiedzy na temat Zagłady. Jak ważna jest historia tego człowieka? Nie miałam pojęcia.

Wróciłam do niego we wtorek po pracy, a potem w czwartek i niedzielę po południu. Siadaliśmy przy stole, na którym stała ohydna kawa i pyszne wafelki. On mówił, ja słuchałam. Lale rzadko nawiązywał kontakt wzrokowy. Przemawiał do stołu, ściany, jednego z dzieciaków, gdy się pochylał i drapał je za uchem. Czasami któreś przynosiło mu piłkę tenisową. Rzucił ją za siebie przez ramię, a oba

psy puszczały się w pogoń i walczyły. Tootsie zawsze wygrywała, ale Bam Bam nie ustawał w wysiłkach.

W obecności Lalego nie próbowałam spisywać niczego, co mówił. Zastanawiałam się, czy go nie poprosić o możliwość nagrywania, ale ostatecznie tego nie zrobiłam. Kilka razy przerwałam mu, by o coś zapytać, a on się wtedy denerwował i tracił wątek, nie potrafił kontynuować opowieści. Ale to nie miało znaczenia. Siedząc z nim i dziećmiakami, słuchając tego, co chwilami przeradzało się w chaotyczną paplaninę starszego pana, byłam jak zahipnotyzowana. Czy chodziło o ten ujmujący wschodnioeuropejski akcent? A może o urok, którym ten czarujący łobuz emanował całe życie? Czy też o pokręconą, zagmatwaną historię, która zaczynała mieć sens, a której znaczenie i doniosłość powoli do mnie docierały? Chodziło o to wszystko naraz i zarazem coś więcej.

Jechałam pospiesznie do domu, ignorowałam pytania i prośby męża i trójki dorosłych dzieci, szłam do komputera i starałam się przypomnieć sobie wszystko, co tego dnia usłyszałam, imiona, godziny i miejsca. Patrząc wstecz, widzę, że moje próby odgadnięcia pisowni nazwisk, a szczególnie rang esesmanów, o których wspominał, były komiczne. Stworzyłam też osobną tabelkę, w której zapisywałam datę i godzinę, to, w jakim stanie emocjonalnym Lale był danego dnia, i jak się czułam w trakcie spotkania i po nim.

Przez jakiś czas odwiedzałam go dwa lub trzy razy w tygodniu. Zawsze witał mnie z dziećmiakami w progu, niezmiennie tymi samymi słowami.

– Skończyłaś już moją książkę? Wiesz, że chcę dołączyć do Gity.

– Jeszcze nie – odpowiadałam wówczas. – I pamiętaj, Lale, piszę scenariusz, nie książkę.

Ignorował to, czekał, aż wejde, a potem zajmę swoje miejsce przy stole, po czym zniknął z dziećmi w kuchni, skąd wracał po chwili z „kawą” i ciasteczkami.

Lale wciąż był pogrążony w głębokiej żałobie. Słuchanie jego opowieści to jedno, obserwowanie go, kiedy je snuł – to coś zupełnie innego. Było dla mnie jasne, że jest rozdarty: pragnął dołączyć do Gity, ale chciał też opowiedzieć ich wspólną historię, a tyle jej jeszcze zostało. Czasami jego smutek i przygnębienie wisiły nad nim jak chmura, która w każdej chwili może eksplodować deszczem. Zauważyłam, że Tootsie i Bam Bam leżą wówczas spokojnie u stóp swojego pana. Ich zachowanie wskazywało na to, w jakim jest nastroju. W inne dni był ożywiony, tryskał energią, kiedy mówił o „swojej Gicie”. Jestem dozwrotnie wdzięczna Tootsie i Bam Bamowi za ich psią intuicję i bezwarunkową miłość do Lalego, bo nie tylko mu to pomagało, ale i pozwoliło mi stać się częścią ich małej wspólnoty. Ja też miałam psa, Lucy, i z całego serca wierzyłam w siłę pociechy, jaką niesie mokry nos i psie spojrzenie.

Lale się ze mną oswajał. Był ciepły, serdeczny, chętnie opowiadał mi o swoim życiu przed Auschwitz, mieszając te lata z czasem, gdy mieszkał z Gitą w Australii. Fakty, szczegółowe opisy – wszystko świetnie, ale nader często

zaczynał coś mówić, przerywał, po czym przechodził do czegoś innego. Za każdym razem, gdy dotykał najgłębszych emocji, z jakimi ten prawie dziewięćdziesięcioletni mężczyzna żył od tak dawna, pochodzących z czasów jednego z najmroczniejszych, najpotworniejszych okresów w historii, wycofywał się i zmieniał temat.

Pewnego niedzielnego popołudnia zapytałam go, co planuje zjeść na kolację. Odparł, że ma resztki zupy. Pod wpływem impulsu zaprosiłam go do nas, a on bez wahania przyjął propozycję, twarz mu pojaśniała. Szybko nakarmił dzieciaki, kiedy delikatnie napomknęłam, że mój pies nie zaakceptuje dodatkowych czworonożnych znajomych, po czym pojechaliśmy do mnie do domu.

Moja osiemnastoletnia córka nie spodziewała się pocałunku w rękę, gdy wyciągnęła ją do Lalego na powitanie. Mój mąż i obaj synowie z miejsca byli nim oczarowani i rozmowa toczyła się naturalnie. Kiedy poszłam z mężem do kuchni, żeby przygotować posiłek, dzieci pozostały w salonie z Lalem. Chwilę później usłyszałam dźwięk, którego nigdy wcześniej nie słyszałam, a który sprawił, że przerwałam to, co akurat robiłam, i znieruchomiałam w zachwycie: Lale się śmiał. Kiedy zajrzałam do pokoju, siedział z moją córką na kanapie, rozśmieszając ją i flirtując w dobrym, staroświeckim stylu.

To był cudowny wieczór. Siedzieliśmy przy stole, jedliśmy i rozmawialiśmy godzinami. Słuchaliśmy Lalego jak zaczarowani, jednak nie opowiadał o Zagładzie. Po raz pierwszy usłyszałam o jego dzieciństwie i młodości przed

wywózką do Auschwitz, o jego losach w Bratysławie po wyzwoleniu i o życiu z Gitą w Australii.

Czy zobaczyłam wtedy nowego Lalego, czy też był to właśnie ten dawny? Starszy pan w żałobie, który doświadczył tyle grozy i potworności, przeistaczał się na moich oczach. Zaczęłam rozumieć, w jaki sposób udało mu się przeżyć. Miał charyzmę i urok osobisty, którymi oczarował nie tylko moją córkę, ale także męża i synów. Oczywiście było, że natychmiast go polubili, zachwyceni jego odwagą i inteligencją.

Gdy przyszedł czas na sprzątanie ze stołu, Lale nalegał, bym została przy stole z córką, a on pomoże pozostałym mężczyznom pozmywać naczynia. Słyszałam, jak w kuchni wypytuje ich o mnie – strasznie mnie obgadywali! Synowie powiedzieli mu, że kiepsko gotuję, że to ojciec wykazuje się większą kreatywnością w przygotowywaniu posiłków. Mój mąż wyznał mu, że jestem bałaganiarą i to on wykonuje większość prac domowych. No dobra, może i jest w tym ziarno prawdy. Najbardziej z tej pierwszej wizyty w moim domu utkwił mi w pamięci śmiech Lalego. Pierwszy raz go wtedy usłyszałam, a od tamtej pory śmiał się i chichotał za każdym razem, gdy się spotykaliśmy, z najdrobniejszych, najbardziej banalnych rzeczy.

Kiedy go wiozłam do domu, skomentowałam jego „flirt” z moją córką. Odparł: „To bardzo ładna dziewczyna!”. Po chwili milczenia dodał: „Jest w tym samym wieku co Gita, kiedy ją poznałem”. Wtedy pojęłam, że coś w mo-



jej córce przypomniało Lalemu o Gicie i ich pierwszych wspólnych latach.

*KAŻDE – NAJBARDZIEJ ZWYKŁE, CODZIENNE –  
SPOTKANIE MOŻE PRZYNIEŚĆ COŚ,  
CO ZMIENI NASZE ŻYCIE.*

Kiedy Heather Morris wysłuchała wspomnień Lalego Sokołowa – tatuażysty z Auschwitz – i postanowiła przenieść je na papier, nie spodziewała się, że ta historia porwie miliony osób na świecie: młodych i starych, a jej przyniesie międzynarodową sławę. I że pozwoli opowiedzieć nie mniej ważną historię Cilki – najdzielniejszej osoby, z jaką zetknął się Lale. W swojej najnowszej książce Heather opowiada o serdecznej przyjaźni z Lalem: o tym, jak się poznali i jak zaufali sobie na tyle, by zwierzył się jej z tego, o czym milczał od czasu zakończenia II wojny światowej.

I jak zmieniło to ich oboje.

Umiejętność słuchania i dotarcia do drugiej osoby to nie tylko przepis na światowy sukces wydawniczy, ale przede wszystkim ważna życiowa lekcja, której wszyscy potrzebujemy.

W serii inspirujących rozdziałów Morris opowiada zarówno o osobach, z którymi pracowała i których historie spisywała, jak i o swojej rodzinie: pełnych miłości relacjach z Dziadziem, ale także o ucieczce z domu oraz trudnych kontaktach z matką.

**OPOWIEŚCI O NADZIEI**  
*TO PRZEDZIE WSZYSTKIM*  
*POCHWAŁA ŻYCIA I ZACIEŚNIANIA WIĘZI.*

**KUP  
TERAZ!**

cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY



lubimyczytać.pl

w sprzedaży także

